

Relacja Piotra Czartoryskiego

=====

Nazywam się Piotr Czartoryski i mam powiedzieć coś o swoim życiu.

Urodziłem się 4 września 1909 roku. Wychowany byłem w domu moich rodziców Witolda i Jadwigi z Dzieduszyckich, matka była córką Włodzimierza Dzieduszyckiego, założyciela Muzeum we Lwowie, członka rad różnych Uniwersytetu Lwowskiego itd. Miałem osiem braci starszych ode mnie, ja byłem najmłodszy. Były jeszcze dwie najstarsze siostry, czyli było nas jedenastoro.

Byliśmy wychowywani w domu w Połkiniach koło Jarosławia, gdzie była rezydencja moich rodziców. Dom ten nie był właściwie jakimś tradycyjnym zamkiem czy pałacem od generacji, bo tam nigdy nikt dawniej nie mieszkał. Mój ojciec rozbudował duży dwór na duży dom. Ojciec założył tam duży park. Sam interesował się dendrologią, leśnictwem i roślinami.

Majątek był położony niedaleko Sanu i były tam widoki dalekie na San i za Sanem. Właściwie większość majątkości i lasy były za Sanem. Często się tam jeździło na wyprawy na grzyby, na polowania itd.

Wychowywani byliśmy muszę powiedzieć bardzo surowo, było to prawie stoickie wychowanie. Pamiętam doskonale, że jako dzieci spaliliśmy na siennikach ze słomy. Musiała ona być twarda, żeby chłopcy byli dzielni, nie rozpuszczeni na miękkich materacach. Trzeba było samemu ślać łóżka.

Ten typ wychowania był. Niesłuchanie podniesiona była prawdziwość, stosunek do innych ludzi, pewien humanizm w stosunku

do służby, że to są też ludzie, których trzeba szanować, mieć respekt, a nie gardzić ludźmi. To było niesłychanie silnie podkreślane.

Były nauki domowe, były różne nauczycielki, a potem zdawaliśmy egzaminy w szkole w Jarosławiu. Uczylismy się w domu przeważnie, dopiero w klasie trzeciej pojechaliśmy do gimnazjum. Było nas czterech - mój brat starszy Witold, ja i inni. Był rodzaj internatu w Ostrowie Wielopolskim. Tam była panna Janina Górska, która z nami mieszkała, pilnowała, żebyśmy się nie lobuzowali i odrabiali odpowiednio zadania. Chodziliśmy do gimnazjum a na wszystkie weekendy czy krótkie wakacje jeździliśmy do Góluchowa. To była rezydencja, zamek w Goluchowie, stryja naszego Adama, jeździło się przeważnie konmi. To był rok 1923-1924, przejeżdżał czasem samochód, co było wtenczas wielką sensacją. Były w tym Goluchowie dwa samochody, takie, że się korba jeszcze kreciło. Światła miały acetylenowe - nie było jeszcze elektryczny. To mi jako dziecku szalenie utkwilo w pamięci.

Byłem tam dwa lata w tym Ostrowie, a później zabrali nas i mieszkaliśmy w zimie we Lwowie w dużym domu, który należał do dziadka Dzeduszyckiego. Tam chodziłem do X Gimnazjum we Lwowie. Na wakacje zawsze się wracało do Pełkiń.

We Lwowie zawsze bardzo mnie interesowało Muzeum Przyrodnicze założone przez dziadka Dzeduszyckiego, gdzie było zawsze co najmniej dwóch profesorów, którzy tam się tym zajmowali. Myśmy mieli przywilej, żeby tam chodzić i oglądać różne zbiory. Robaków różnych i zwierząt i ptaków. To było wielką pasją pamiętam.

Wreszcie skończyłem gimnazjum i po gimnazjum zaraz poszedłem do podchorążówki z Adamem, moim bratem. On był po studiach, a ja byłem przed studiami. Poszliśmy do podchorążówki rezerwy we Włodzimierzu Wołyńskim. Tam byliśmy przez rok.

Po skonczeniu szkoly przydzielili mnie do 10 Dywizjonu Artylerii Konnej na cwiczenia, jako do takiego pulku zasadniczego. Ten dywizjon stal w Jaroslawiu, skad jeździliśmy na manewry. Pozniej skonczyly sie te manewry i rok mojej sluzby wojskowej i pojechałem do Luvan do Belgii. To jest katolicki uniwersytet. Mial on wszelkie wydzialy - medyczny, rolnictwa, inzynierii itd., ale kazdy student musi I rok skonczyc filozofie. Nazywa sie to Instytut Wyzszy Filozofii Tomistycznej. Wiec ja na te kursa chodzilem przez rok. Potem zdawalem tam egzaminy i zaraz potem pojechałem prosto do Wlodzimierza Wolynskiego do podchorazowki.

Po powrocie z Luven postanowiliśmy, ze musze pojsc na rolnictwo. I wtedy pojechałem do Poznania i tam byłem z bratem Adamem na uniwersytecie. Ja byłem na rolnictwie, a on konczyl lesnictwo. On wlasciwie konczyl, a ja zaczynalem. Byłem na studiach do 1935 r. otrzymujac tytul inzyniera. Prace dyplomowa pisalem z ekonomii rolnej o organizacji rolnictwa w roznych mozliwych sytuacjach. Praktyke odbywalem w Warszawie. Poszedłem do zakladu pana Orta, ktory mial biuro rachunkowosci rolnej. Siedzialem w tym biurze przez jakis czas, aby sie nauczyc porzadkie rachunkowosci rolnej. Stamtad pojechałem na praktyke lesna do Olyki na Wolyniu. To byly majatki Janusza Radziwilla, gdzie byl nadzwyczajnie zdolny administrator pan Skapski. Mieszkalem u pana Skapskiego przez cala zime i praktykowalem eksploatacje lasu, sadzenie lasu, przemysl lesny itd.

Potem pojechałem do Pełkiń do moich rodzicow. Chcieli oni swoje majatki dzielic miedzy synow. Ja przez rok byłem wlasciwie administratorem majatkow pełkińskich z tym, ze pewnie to ja bede musial tam gospodarzyc.

Po pewnym czasie - to byl juz 1938 r. - ojciec zmienil zdanie.

Mój brat miał majątek Bieliny nad Sanem i ten majątek mnie dali a mój starszy brat Włodzimierz poszedł do Pelkin i administrował dalej. Pelkiniami ojca. Został potem właścicielem tych Pelki a ja zostałem w Bielinach.

Gdy wybuchła wojna 1939 r. ja całe lato byłem na ćwiczeniach wojskowych w Dubnie z 2 Dywizjonem Artylerii Konnej. Jak wróciłem do domu - za parę tygodni nastąpiła mobilizacja i powołanie do wojska. Pociągi przestały chodzić 1 września. Wsiadłem na konia i konno pojechałem z Bielin do Zamoscia. To trochę taka sienkiewiczowska historia. Wziąłem chłopaka z bryczką małą, żeby wziąć jakiś kuferek i jakieś rzeczy, bo trzeba było mundur wziąć... I pamiętam doskonale, noc spędzałem pod jakimś drzewem, konia się gdzieś przywiązało i trzeba go było pasc. Pod peleryną przespaliśmy pod drzewem razem z tym moim chłopakiem.

Przyjechałem do Zamoscia, gdzie był już nastój wojenny bardzo silny. Przydzielili mnie do Środkiego Zapasowego Konnej Artylerii w Zamosciu. Mieszkałem z kilkoma kolegami w takim mieszkaniu w Rynku.

Przyszeli 9 września, a my nadal staliśmy w tych koszarach. Nadleciały w owczas samoloty niemieckie, które zrzuciły na nas kilka bomb. Zrobiły tam zupełnie jatki ! Konie stały na koniowiazach, był obiad, kuchnia polowa - jak dziś pamiętam. Nagle kurz, dym, hałas, nie wiem co. I wreszcie ja wstaje i czuje, że wszystko dobrze. I widzę tę kuchnię polową, przy której był kucharz. Miał on obcięte rękę, która widziała na kawałku skóry. Wziął on noż prawą ręką, odciął ten kawałek skóry i mówi - panie poruczniku, to już ręka do niczego ! I rzucił ją w krzaki. Wcale ta ręka nie krwawiła, bo odłamki bomby przypiekają rany, są bardzo gorące. Zabity tam był mój

kolega Fiszer, miły chłopak. On dostał te odłamki w brzuch i za 5 minut nie żył. Jeszcze mi powiedział - Piotr, ty masz szczęście, że nie jesteś ranny ! I skończył, biedny Fiszer. Przyszli sanitariusze i wzięli go. Był tam mój kuzyn Janek Dzieluszycki, który był podchorazym. I on przychodzi pytając, co mi jest, bo jestem cały zakrwawiony. I raptem okazało się, że jestem ranny, a tego nie wiedziałem. Mundur na plecach przecięty, w twarzy pełno odłamków, w nodze odłamek... Chodziłem z tymi ludźmi i nic nie wiedziałem. Jak ten mi powiedział, że ja jestem ranny, to ja raptem się poczułem nieszczęśliwy.

Poszedłem na izbę chorych, gdzie było pełno takich z obciętych rękami, nogami i nie wiem co. Przyszła rozkaz, aby ci, co jeszcze chodzą wycofywali się do lasu. Był wóz taki amunicyjny, na którym różne graty zostały. Ja na ten wóz i na nim dojechałem do lasu, a następnie tym wozem dojechalismy z Zamoscia aż pod Włodzimierz Wołyński. Trwało to parę dni. I raptem w nocy slychac jakiś balas. Ja spałem na tym wozie, miałem goraczkę bo miałem trochę zakażenia. Nagle jada jakieś czołgi. Jeden staje koło mnie, ktoś świeci latarka - czerwona gwiazda, sierp i młot ! A myśmy w ogóle nie wiedzieli, że Rosjanie nas zaatakowali. Można więc sobie wyobrazić, co to za szok był raptem !

Wtedy nasz dowódca mówi - wracamy ! A Rosjanie do nas, że oni przyjaciele, a może chcemy papierosów, my wam chcemy pomoc, wyzwolimy od Niemców. I te czołgi pojechały dalej na zachód. Myśmy zostali w tym lesie na drodze. To było za Włodzimierzem, bardzo od niego niedaleko.

Zaczelismy wtedy wracać i z tym całym transportem zajechalismy pod Janów Lubelski. Ale nie mieliśmy już ani jednej armaty, ani nic, w ogóle sprzętu. To był oddział rozbitków. Już od Zamoscia jechalismy bez armat, bez niczego.

To wszystko było zrujnowane w Zamosciu.

Jak przyjechalismy pod ten Janow Lubelski, to ja juz sie troche lepiej czulem. Byla taka zabawna historia - mielismy w naszym oddziale lekarza, ktory byl Zydek. Jak przyszlo to bombardowanie - ten jegomosc znikl w ogole z horyzontu i wiecej go nie bylo. Ale zostal weterynarz z naszego DAK-u, ktory byl nadzwyczajny czlowiek ! I on mnie zaczal leczyc. Ale co on mial - mial tylko mode utleniona i jodyne ! Jedyne lekarstwa. I zaczal mi gebe smarowac pioktanina, to jest taki ciemnofioletowy plyn, ktorym smaruje sie konie. Sluzyl to do dezynfekcji. I gdzies potem mysmy przyjechali i ja zobaczylem lustro - w ogole nie moglem sie poznac ! Szczes nie golona przez tydzien, czy cos i caaa geba fioletowa. Zaprowadzili mnie do jakiejs zydowskiej chalupy, gdzie bylo lustro i ja tam zaczalem sobie z twarzy wyciagac nozyczkami kawalki tej bomby, male odlamki. Pod samym okiem miale takie odlamki. Noga mi dokuczala, bo tam siedzial kawalek. Ale ten kawalek tez po paru dniach z ropa wylazl. Wiec wszystko bylo dobrze.

W Janowie Lubelskim byl juz oddzial niemiecki. I jedyna bitwa, w ktorej ja bralem udzial, to wlasnie pod Janowem. Stamtad mysmy tych Niemcow wykurzyli. Ale przyszla noc i przyszly oddzialy rosyjskie. Przyszedl do naszej grupy dowodca i przekazal rozkaz - zolnierze ~~moga~~ wracac do domu, a my, oficerowie, mamy sie zameldowac u Ruskow oficerowi. Ale ze Ruski powiedzialy, ze nas tylko rejestruja i mozemy pojsc do domu. I wtedy trzech mlodszych kolegow powiedzialo - hola, my nie bedziemy wierzyc tym Ruskom, trzeba stad dac noge, bo pojedziemy gdzies na Syberie ! Juz sie ludzie orientowali.

Bylismy tam otoczeni zolnierzami rosyjskimi, ale wzielismy pare koni. Jeden z nas mowil dobrze po rosyjsku. Mysmy wsiedli

woz i wyjechali. Wtedy ten po rosyjsku takimi wyrazami - ty taki owaki - zwrocil sie do zatrzymujacego, Rosjanina, ze mamy wszystkie bumazki i mamy jechac ! Zacial konie i pojechalismy.

Bylomnas pieciu. Pojechalismy do gajowki do moich lasow. To trwalo dwa dni, zeby tam dojechac. Mielismy ze soba sztandar 2 DAK-u, mielismy pistolety, ten zawodowy oficer miala jakies dokumenty dywizjonu, bo on byl adiutantem dywizjonu. W tej gajowce wszystko to zakopalismy. Gajowy, ktory nazywal sie Kazanecki - byl w wojsku, Ale jego zona poslala dziewczynke do mojego domu z wiadomoscia, co sie tam dzieje. Przyjechal zarzadca Kobylanski, ktoremu powiedzialem, aby przywiozl dla nas ubrania cywilne. Okazalo sie, ze we dworze byli juz Ruscy. Powiedzial mi, zeby sie tam nie pokazawal, bo on ledwo sam moze egzystowac.

Mysmy sie przebrali w cywilne ubrania, a mundury zakopalism. Teraz - co dalej robic ? Jeden poszedl do domu - Kazik Szeptycki, Janek Dzieduszycki zostal ze mna, Sczaniecki zostal ze mna, Kapitan Kowalski poszedl do Lublina, skad pochodził.

Powstal teraz problem, jak sie wydostac. Bylismy wszyscy w zonie rosyjskiej. Uwazalismy wszyscy, ze wierzyc Ruskom nie mozna, lepiej pojsc na niemiecka strone. Przynajmniej sa to europejczycy, a nie dzikie azjaty. Byla cala trudnosc przejscia przez te zone. W Kurylowce na Sanie, ktorym biegla granica, byl prom. Pomogl nam przejsc na druga strone soltys tej wsi, Ukrainiec, ktory uczynil to przez wdziecznosc, bo powiedzial, ze jak budowali we wsi cerkiew, to ksiaze Czartoryski z Pełkiń dal na nia cegle.

Przeszlismy na drugą strone Sanu do Lezajska, skad na wpol piechota, wpol jakimis furmankami przyjechalem do Pelkin. Dom byl pelny ludzi, uciekinierow.

Rano raptem zajezdzaja samochody - gestapo ! Mezczyzni maja sie pokazac i zameldowac. Ze mna byl juz tylko Schaniecki, tamci juz poszli.

Zabrali nas do sądu do Jarosławia i zamkneli w pokoju, gdzie bylo pelno akt. Sczanieckiego zamkneli w innym pokoju. Trwalo to pare dni. Przynosili jakas zupke i nikt sie nic nie pytal. Ktoregos dnia przyszli i - raus ! na podworko. Ustawili nas wszystkich na podworku sadu pod sciana. Miedzy innymi przyszedl siedzacy tam, jak sie okazalo - Wincenty Witos. Byl on wtedy dosyc kulawy, z laska, ale przeciez kazdy z nas wiedzial, jak wyglada Witos. Ja go osobiscie nigdy wczesniej nie widzialem, ale to od razu bylo wiadomo. I Witos tam staje, a sturmführer ma do nas przemowe, ze bedziemy wywiezieni. Bylo nas tam z 15 osob. Wszystkich wsadzili do ciezarowego samochodu, a mnie i Witosa zatrzymali. Przyjechaly dwa osobowe samochody - Witosa do jednego, mnie do drugiego. Pojechalismy do Rzeszowa. Tam bylo ciezkie wiezienie polskie przedwojenne, wiec osadzono nas tam juz normalnie w celi.

W tym wiezieniu roznie bylo. Czasem bylo w malej celi 25 osob, tak ze nie bylo gdzie sie polozyc spac, lezelismy jak sardynki na podlodze. A czasem raptem przemieniali - wyrzucali wszystkich i zostawalo sie samemu. Dwa razy na tydzien na podworzu wiezienia strzelali ludzi. Byly okna, ale ja nigdy nie lubilem patrzec na to, byli ludzie, ktorzy sie przygladali. kogo wlasciwie tam zastrzelili.

W rezultacie pewnego dnia - wszystkich raus i ja zostaje sam w celi. I nagle wrzucaja doslownie kopniakiem kogos. Wpada ktos, z przeproszeniem w gaciach i w koszuli tylko. W strasznych nerwach taki czlowiek, ja go uspokajam. Siada kolo mnie, troszke sie uspokaja i pyta mnie - czy pan sie chce wypowiedac ? On mowi, ze wie, ze z tej celi rano wypro-

wadza nas na rozstrzelanie, a on jest księdzem katolickim z parafii gdzieś pod Rzeszowem. Ten ksiądz zaczyna się pomalu uspokajać i opowiada mi swoją historię. Mówił, że w czasie kampanii wieś jego przechodziła z rąk polskich w niemieckie. W czasie walk zginęło dwóch Niemców, których on kazał pochować za murem cmentarnym, nie pozwolił pochować ich na cmentarzu. Jak Niemcy przyszli, to wzięli go do więzienia, po czym często brali go ze sobą i wiele razy symulowali jego egzekucję, strzelając mu nad głowę. Tak bawili się z nim przez parę dni. Po kilku dniach tego księdza zabrali z celi i ja do dziś nie wiem, co się z nim stało.

Zaczeli nas z celi wyprowadzać na spacer na podworko. Ja widzę - Wincenty Witos spaceruje między nami. Chodziło się w parach, Witos był jakies 3-4 pary przede mną. Więc ja pomalu zacząłem tak manewrować, żeby się do niego dostać. Przyszedłem do Witosy i on mówi - a wy kto jesteście? Ja mówię - jestem Czartoryski. - A to syn Witolda? Mówi dalej - że mój ojciec książe był wprawdzie obszarnikiem, a on jest chłopem, ale że zawsze go szanował. Pytał mnie, co się dzieje w polityce, czy ja coś wiem.

Na tym spacerze się skończyło. Po paru dniach strażnik Szczur (byli strażnicy Polacy) do celi i wola mnie do kancelarii. Więc ja pytam, o co chodzi - A, bo pan premier prosi, żeby pana przyprowadzić.

Witos siedział w osobnej celi, miał swoje łóżko, posciel, przynosili mu jedzenie. Usiłowali zrobić z niego takiego Quislinga. Witos mi to wszystko opowiadał. Witos znał niemiecki, bo był posłem w parlamentzie austriackim, ale powiedział mi, że nigdy się do tego nie przyzna i rozmawia tylko przez tłumacza. Mówił mi - Niemcy ciągle mnie namawiali, ale ja

nigdy z nimi nic nie bede miał do czynienia !

Wtedy chyba przez tydzień wieczorem pan Szczur przychodził i - Czartoryski do kancelarii ! i przychodziłem do pana Witos. Witos był trochę sparalizowany, bo był w 1939 r. kontuzjowany bomba ukrwając się gdzieś. Przed samą wojną przyszedł on z Czechosłowacji, gdzie był na emigracji i mieszkał u pana Drohojowskiego w Cieszacie, koło Jarosławia. W czasie bombardowania był tam kontuzjowany w nogę, która wlokł. Witos był w długich butach, których nie mógł sam sciągnąć i kładł się w nich spać, więc ja mu buty sciągałem. Bardzo był mi za to wdzięczny i dał mi coś do jedzenia. Bo on dostawał lepsze jedzenie niż my. Tak więc wieczorami prowadziłem rozmowy z Witosem. To był niesłychanie ciekawy człowiek. Szalenie prawy patriota. Mówił, że to, iż jest w więzieniu, że jest postrzelony - to wszystko nieważne, ale co z przyszłością będzie. Jak to zrobimy, bo przecież tych Niemców i tak ktoś pobije, prędzej czy później. Był on wielkim optymistą. Mówił np. o stosunku do Piłsudskiego. To było bardzo ciekawe. Mówił, że bardzo szanował Piłsudskiego, ale ta holota, która go otaczała, to byli obrzydliwi ludzie. Z podoficerów zrobił generałów i oni napsuli najgorzej Polskę. Mówił, że był przez tych drabów zamknięty w Brześciu w więzieniu wraz z komunistami. Ale to nie była wina Piłsudskiego, gdyby on wiedział, to by na pewno tego nie zrobił. M.in. opowiadał taką historię, że w tym Brześciu był korytarz i wejście do celi miało parę schodków. Te schodki strażnicy wysypywali jakimś tłuczonym szkłem - jakies tłuczone butelki i na bosaka wyprowadzali ludzi z celi. Mówił, że on miał nogi pokrwawione, bo na bosaka musiał po tym szkłem chodzić.

Mówił do mnie "wy, księżo" a ja mam do niego mówić "wy

premierze", nie panie. Jest to jakas stara tradycja polska, a tych "panow" wymyslili jacys glupi inteligenci z miasta. A my ludzie z roli to inaczej to pamietamy. Ze ja jestem rowny z nim, bo mysmy na roli wyrosli. A urzednik, to jest tak jak parobek na gospodarstwie. Mowil - jak ja wyjezdzam z mojego gospodarstwa, to nie moge zostawic go parobkowi, bo on zle nakarmi moja krowe i ciele, itd. A gospodarstwo, ktore dostaje sie od ojca, trzeba przekazac swoim dzieciom i to jest kawalek Polski, za ktory ja odpowiadam. A urzednicy, to tylko myska o pensji i nie maja tej ciaglosci posiadania. Mowil, ze trzeba w Polsce prawo wyborcze tak urzadzic, aby wieksze prawa mieli ludzie posiadajacy wiecej dzieci. Od kazdego dziecka jakis plus przy glosowaniu. Im wiecej dzieci, tym porzadniejsze rodziny, bo to sa spolecznosci rodzinne. On nie lubil bardzo starostow.

Wyglaszal tego rodzaju teorie.

Mowil tez o Mikolajczyku, ze jest on duzo lepiej wykszaltcony od niego i on bedzie najlepszym nastepca Witos.

Witos byl przede wszystkim demokrata. Dlaczego on ze mna rozmawial ? On sam mowil - tutaj siedza albo moje chlopy, albo urzedniki, a ja z nimi nie moglbym w ogole mowic, bo oni nie maja tego uczucia, ze kraj to jest nasz. To sa ludzie na pensji. On miał uraz na ten temat.

On np. okropnie nie lubil Daszynskiego. On nienawidzil socjalizmu i w duszy swojej byl konserwatysta. Mowil, ze taki Kiernik czy Daszynski - to nie sa ludzie, ktorzy rozumieja narod. To sa idealisci, daza do utopii, ktorej polskim narod nie potrafi zniesc. To byla jego mentalnosc - co zrobic dla Polski, zeby podniesc. Cala tragedia Polski polegala na tym, ze w Malopolsce bylo rozdrobnienie. Chlopi nie mogli wyzyc.

Zastanawiał się, jak to zrobić, aby część odeszła z tej wsi do jakichś innych zawodów. To była jego największa troska. On lubił ministra Kwiatkowskiego, który zaczął budować przemysł Pierwszą, troska narodu powinno być - co zrobić, aby jakos podnieść te wsie. Ten chłop mając morgę czy pol - nie może wyżyć. A jak jest folwark, to przynajmniej ci ludzie mogą na folwarku pracować. Pojdzie do żniwa czy orki i coś zarobi. Właściciel da mu kawałek ogrodu i ordynarie i wraz z rodziną ma przynajmniej coś jeść.

On nie był całkiem pewny, jak to zrobić z tą reformą rolną. Parcelować trzeba ziemianina, który źle gospodaruje, gnębi ludzi albo przepisuje i przepuszcza majątek. Takiego trzeba wyrzucić. Ale jest dużo takich, którzy są dla narodu produktywni.

On był wdowiec, miał córkę, która do niego puszczała. Ona przyjeżdżała tam i przynosiła mu jedzenie. Witos mi potem z tego jakiś chleb dawał, jakies jajko na twardo, coś takiego. On tę córkę adorował, że ta córka jest rzeczywiście idealna. Ja ją raz widziałem - taka sobie babulina, gospodyni ze wsi. Dobrze wyglądająca. Bardzo też musiała być mądra kobieta. Praktyczna i zasadnicza jakaś osoba. On ciągle o tej córce mówił, więcej rodziny nie wspominał.

Pewnego dnia - Czartoryski raus ! Na korytarz i prowadzi mnie, a potem wpychają do jakiegoś wspaniałego salonu. Siedzi w nim ten obersturmführer, który mi w Jarosławiu kazania mówił. Wstaje on od stołu, podaj mi rękę, prosi siadac na fotelu. Papierosy... Mówi, że będzie teraz wywieziony, ale jest jeden warunek - o tym, co się dzieje w więzieniu radzi nikomu nie mówić. To jest tajemnica. Na pytanie dokąd odpowiedział, że to jego sprawa, a ja zobaczę, gdzie.

Ja mu powiedziałem, że miałem portfel, dokumenty i dwie perły do fraka, które miałem w kieszeni. A on mi na to - to co, chciałby pan tu dłużej zostać? I na tym się nasza rozmowa skończyła. Wyprowadzili mnie do celi, było to późnym wieczorem. Potem wyprowadzają mnie korytarzami do samochodu, późna noc, wiozą mnie po tym Rzeszowie do jakiegoś kamienicy. Wychodzę tam na górę i tam mnie wpychają do jakiegoś mieszkania. W kuchni siedzi jakaś pani, przez drzwi słyszę jakieś rozmowy, coś się dzieje. Pytam tą panią, która jest wdową po oficerze polskim. Ona mi mówi, że kazali jej gotować dla paru gestapowców którzy tu mieszkają. Zapytałem, dlaczego mnie tu przyprowadzono. A, bo tu będzie przyjęcie dla generalów.

Po chwili wprowadzają jakiegoś pana. Taki typowy szlachcic z siwymi wąsami. Też wpadają do tej kuchni. Chwileczkę ten pan jest i ja zamieniam z nim parę słów. Przychodzą z salonu i zabierają tam tego pana. Za chwilę słyszę - gra na fortepianie. A on mi powiedział, że on dobrze umie grać na fortepianie. I temu panu kazali grać przez cały czas taki program rozrywkowy. Ja się pytam tej pani, co ze mną, pewni mnie też kazała tam jakieś cyrki urządzać. Ale ona nic nie wiedziała. Po jakimś czasie ten pan wraca, jest koniec przyjęcia. I znowu - raus z tej kuchni. Wpadam na korytarz - stoi generał wojskowy, z Wehrmachtu. Generalowie mieli takie czerwone wyłogi płaszcza. Strumbahnführer stojący obok ściągając rękawiczki, podaje i reke i pyta po niemiecku, czy jestem księżem Czartoryski. Potwierdzam wówczas wyprowadzają mnie przed dom, gdzie stoi piękny mercedes. Mnie sadzą koło szofera, generał siedzi z tyłu. z jakąś panią. Ruszamy w ciemność, jest 12 w nocy. Ten generał mówi - och, zapomniałem przedstawić panu moją żonę, która przyjechała prosto z Wiednia. Ja tu przyjechałem, żeby pana uratować z

"verfluchtene Hände". Wiec ja juz nic nie rozumiem, co to sie dzieje. General pyta mnie, gdzie ja sie ukrywalem, bo szukal mnie juz od jakiegos czasu. Odpowiedzialem ze nigdzie, ale dodkad my jedziemy. Odmzekl - jak to, dokad ? Ja pana wyciagnalem z wiezienia i odwoze pana do domu !

Okazauje sie, ze to byl general austriacki, wiedenczyk, ktory byl na emeryturze i w 1939 r. go zmobilizowali. On byl takim generalem poza frontem, od spraw administracyjnych. Jemu podlegali wszyscy byli wojskowi polscy. Jego rola bylo wyciagac oficerow z wiezien i posylac do obozow jencow. On mi mowi, ze trzeba cos wymyslic, aby nie musial wyslac mnie do obozu jenieckiego. Przywiozl mnie do rodziców do Pelkin, gdzie byl kwaterunek wojskowy. Obudzil kapitana wehrmachtu, ktory tam kwaterowal i powiedzial, ze ma on mnie pilnowac, abym nie uciekl, a on da pozniej rozkazy, co ze mna robic.

Wzial ode mnie slowo honoru, ze nie uciekne, a on przyjedzie za dwa dni.

Okazalo sie pozniej, ze ten general przyjechal do nas przed dwoma tygodniami i w czasie rozmowy z ojcem (mowil on dobrze o po niemiecku, bo nalezal do austriackiej Izby Panow) ojciec powiedzial mu o moim aresztowaniu. General obiecal, ze wszystko zrobi. Sturmführer lubil konie i ten general powiedzial ojcu, ze jezeli da mu dwa piekne konie, to on juz tak zrobi, aby w zamian za te konie wypuscil on mnie z wiezienia. I tak sie stalo.

Generalowie austriaccy nienawidzili tych gestapowcow.

Razem z generalem wymyslilismy, ze moj ojciec ma ponad 70 lat i ze ja jestem potrzebny do prowadzenia jego majatku. Ja jestem wiec odkomenderowany z obozu jencow do "Kriegswirtschaftsbetrieb" - waznego wojennego zakladu produkcyjnego.

Nie wolno jest mi jednak wyjeżdżać, muszę się codziennie meldować u tych Niemców, którzy tam mieszkali.

Po jakimś miesiącu generał przyjechał i powiedział, że teraz musimy tak zrobić, abym mógł się stąd "zlikwidować". Dał mi papiery, że ja jadę do majątku Bieliny, który był odległy od 60 km od Pełkiń i że ja tam będę. I tak się skończyło. To był już inny powiat, inne władze i byłem tam bez meldowania. Ten majątek w Bielinach to był też "Kriegswichtigebetrieb". Ja miałem tam lesną produkcję, tartak. Tam siedziałem i od razu zaczęła się historia z AK. Ci z AK powiedzieli mi - siedź jak najdłużej. Trzy czwarte ludzi, którzy tam pracowali, to byli wszystko tacy AK-owcy zadekowani, którzy nie mieli gdzie się podziac. Więc chodziło o to, żeby tych ludzi trzymać, a poza tym przekazywać do AK wszystkie wiadomości, jakie dostane od Niemców. Więc jak Niemcy przyjeżdżali, to już po wybuchu wojny w 1941 r. to ja mówiłem do nich, że my musimy się razem trzymać przeciwko Roskom. Musiałem się więc w dzień z tymi Niemcami porozumiewać, a nocami jeździłem do obozu w lesie i tym panom wszystko mówiłem, o co chodzi.

Przychodzili partyzanci, którzy potrzebowali zboża, potrzebowali mięsa. Przychodzili wieczorem i umawialiśmy się z dowódcą oddziału, która krowe mają zabrać. Cała historia była, żeby nie było donosicielstwa do Niemców. Więc trzeba było robić całą atmosferę, że to jest napad partyzantów na folwark, gdzie ja mieszkalem i że są to jakieś komunistyczno-rosyjskie bandy, wcale nie Polacy ! Więc jak przychodził porucznik z lasu, to pierwsza rzecz - ja musiałem przeciąć telefon. A potem mówiłem Niemcom, że przyszli bandyci i to oni zrobili. Tego rodzaju akcje tam były, poki ja tam siedziałem.

W swoim majątku byłem do wejścia Rosjan latem 1944 r.

Wyjechałem w ostatnim momencie. Zonę wysłałem do Szczawnicy do braterstwa, a ja siedziałem do konca i w ostatnim momencie wyjechałem do Szczawnicy.

Dojechałem do Przeworska, a w Jarosławiu już byli Ruscy. Ostatni pociąg niemiecki odchodził z Przeworska.

Byłem w Szczawnicy, a potem byliśmy jakiś czas razem w lesi. Trzeci nasz brat, Witold był na Słowacji. I mnie z pomocą AK przetransportowali, żeby się stamtąd wynieść na Słowację. AK-owcy dali żandarmerii ukraińskiej w Nowym Targu parę butelek wódki i powiedzieli, że ja mam szmugiel i żeby mnie przetransportowali na Słowację. Myśmy wyjechali ze Szczawnicy w ten sposób, że przyjechała ciężarówka z Ukraińcami w niemieckich mundurach i pojechalismy do Popradu przez granice. Na drugi dzień przejechalismy przez granice, za którą wysadzili nas oni zaraz na szosie i wrócili. Z tamtej strony zaprzyjazznieni z Polakami Słowacy, antyniemieccy zabrali nas. Przyjechał starosta powiatowy z Popradu i zabrał nas do hotelu. Przyjechałem z żoną dwójkiem dzieci i boną, taką przemiłą Stefcia Jaskólska. To była taka przyjaciółka domowa.

Ten Poprad był już zajmowany i były bitwy między partyzantami słowackimi a Niemcami. Stamtąd wozkiem, konmi pojechalismy pod Tyrnawę, to jest zachodnia Słowacja, która była pod Niemcami jeszcze, Ruskich tam jeszcze nie było. Tam mieszkała ciotka mojej żony i tam zesmy wyladowali. Często było tak, że z jednej strony Wagu byli partyzanci, a z drugiej Niemcy. I teraz często furmanka trzeba było przejechać. Więc partyzantom się mówiło, że my wracamy do domu pod Tyrnawę i w przyjazni jesteśmy, bo jesteśmy Polacy. Przyjeżdżało się tam, a tam byli znowu Słowacy pod Niemcami. Więc tym Niemcom, czy też Słowakom proniemieckim trzeba było coś innego mówić.

Jak tam dojechalismy, to siedzieliśmy tam dosyć długo, aż się zaczął już front prawdziwy rosyjsko-niemiecki.

A w tych Brestwanach ja byłem takim zarządcą tego foliarku. Jak się Niemcy wyprowadzili przyszli Ruscy, była cała bitwa między Ruskimi a Słowakami. Pod tymi Ruskimi ja byłem u cietki jedynym mężczyzną, bo wszyscy inni uciekli z Niemcami.

Słowacy byli władczywie bardzo życzliwi dla Polaków. Tam był punkt przerzutowy dla Polaków w Polskę i za granicę. I tam w tych Brestwanach pod Tyrnowem przyjeżdżali z Polski różni łącznicy i jechali na Zachód i odwrotnie. Tam się im pomagało przy przerzucie.

Przyjechał z Polski z Kodywu tutejszego taki major Samuel Kestrowicki. On jechał na Zachód z jakimś rozkazem. To było w 1945 r. już jak się wojna skończyła. Ten major Kestrowicki powiedział mi, że mam rozkaz, aby z nim jechać. Zostawiłem tam żonę i dzieci i pojechałem z nim na Zachód. Różne były trudności, jak się wydestać przez zieloną granicę, w każdym razie dostaliśmy się do Amerykanów. Siedzieliśmy tam jakiś czas, w różnych oddziałach wartowniczych i z tym Kestrowickim pojechałem do Düsseldorfu. Tam był obóz pan z AK z powstania warszawskiego. Oni byli już uwolnieni przez Amerykanów. Tam przyjechała z Londynu pani major Karasiówna. Bera-Komerowski był już uwolniony z niewoli i był naczelnym wodzem. I ten naczelnik wodz szukał kogoś, kto pojechałby do Warszawy sprawdzić łączność Warszawy z Londynem. Tutaj w Warszawie był wtedy "Radejlaw", który nie był aresztowany. On miał taką skrzynkę - że on był wolny, ale ktemelwiek chciał się do niego dostać, to tych aresztowali. To był taki system wylapywania ludzi.

Tak więc był rozkaz Bera-Komerowskiego, aby sprawdzić tę łączność. Chodzili to wszyscy o gen. "Tabara", miał on również ps. "Taber", nazywał się jakiś czas "Erazm"... On był

stad przezwuceny do Londynu jeszcze za Niemcow. Byl on tam szefem Oddzialu II i rownoczesnie byl szefem lacznosci na Kraj. Jego podejrzewali, ze ma on kontakty z Polska Ludowa. Z nim byly tez jakies pieniezne rzeczy - on nie chcial oddac wejsku czy tez Komarowskiemu jakichs pieniedzy i prezydentowi. Mowil, ze to jest dla Kraju, a wy tu wydacie. Mowil, ze musi przywiezc te pieniadze dla Polski Ludowej, a to byly grube pieniadze ! Wiec byl konflikt o te, a ponadto podejrzewali go o kontakty z Osobka-Morwskim. Trzeba wiec to bylo sprawdzic.

Majer Kostrewicki mowil, czy ja bym nie pojechal, bo ja niedawno wyjechalem z Polski. W przystepie patriotyzmu powiedzialem - oczywiscie, jezeli naczelny wodz kogos potrzebuje, to prosze bardzo, ja zrobie co potrzeba. Dobrowolnie, bo to nie byl rozkaz, tylko na ochetnika.

Warunek byl ten, ze musze nauzyc sie tego rozkazu, pojechac do Warszawy, sprawdzic u "Radoslawy" i wrócic. Wtedy w calych Niemczech byli oficerowie lacznikowi polskich wojsk na Zachodzie do roznych spraw - ebezow, Polakow, itd. Wiec ja mialem tak jechac, aby nikt z tych oficerow lacznikowych o mnie nie wiedzial. Bo to byli ludzie Tatara. i zabelduja, ze ktos taki jedzie. Wiec to byla cala trudnosc, jak to zrobie. Ja jechalem wtedy z Düsseldorfu roznymi znajomosciami. Dojechalem do Norymbergii. Tam byla ciekawa histeria, byl tam plk. Dąbrowski z Brygady Swietekrzyskiej. On sie nigdy nie rezbrazil. Siedzial w gorach od 1939 r. az do 1945 r. jak Ruscy przychodzili. On miedzy Ruskimi a Niemcami wyprowadzil ok. 3 tysiecy ludzi do Amerykanow. I teraz to byla kwestia polityczna, do jakiego stopnia on kooperowal z Niemcami, ze go Niemcy nie wytlukli. Ale on uwazal, ze wrog numer 1 to sa Rosjanie, bo Niemcy sa juz i tak pobici, predzej czy pozniej. I on z Niemcami od czasu do czasu mial

jakis kontakt, na zasadzie - i my i wy jesteśmy antyresyjscy, więc nie przeszkadzajmy sobie. I Niemcy zestawiali go w spokoju. I tak on wyprowadził tych ludzi, do Czechosłowacji do Pattena.

Więc Londyn podejrzewał politycznie całą tę rzecz, bo to były oddziały ONR-u. On był ogromnie antyresyjski, a Londyn przez Anglików, którzy mówili, że to są nasi alianci - demagali się, aby nie drażnić niedzwiedzia.

Ja zameldowałem się u Dąbrowskiego, powiedziałem, że mam rozkaz do Warszawy i zapytałem, czy on mi ułatwi. On mówi - dla Komarowskiego wszystko zrobię, bo to jest przyzwyczajony, uczciwy człowiek. Ja się polityką nie zajmuję, ja tylko wiem, że on jest prawy Polak !

Więc mnie wzięli, ja tam siedziałem ze 2 tygodnie. Zrobiliem się panem Piotrem Chemikiem, buchalterem z Ciechanowa. Nauczyli mnie wszystkiego - moje pochodzenie, co pan Chemik robił, itd. itd. Jak śpie, a ktoś mnie zbudzi - ja muszę wiedzieć przeszłość pana Chemika.

Wzięli mnie do obozu pod Ratzbena, do Regensburga. Tam był m.in. obóz stalag. I że ja tam siedziałem w tym obozie jako jeńiec niemiecki. Tam mnie nauczyci, w której ja sali mieszkałem, kto był tam dowódcą, jakich miałem kolegów i to wszystko, tak jak się trenuje szpiegów, żeby móc odpowiedzieć na każde pytanie. Ten Dąbrowski posyłał też do Polski swojego człowieka - pierwszorzędny, młody chłopak, to był taki "pistolet". Z nim razem pojechałem z tego Regensburga już jako pan Chemik, repatriant z tego obozu, który wraca do wspaniałej i cudownej ludowej Polski, specjalistycznej i nadzwyczajnej.

I tak przyjechałem do Warszawy. I teraz tu mi powiedzieli - nie można się dostać do "Radława", bo cie złapią i wszystko na cie. I myśle - co tu zrobić, nie mogę wrócić i zameldować,

ze nie mogę się dostać. Ponieważ to była raczej polityczna historia, poszedłem też jeszcze do rady politycznej przy delegacji. Przez kontakty dawne skontaktowałem się z socjalistami, ludowcami, narodowcami i pilsudczykami.

Z tym raportem posłali mnie na Pl. Unii Lubelskiej, gdzie stał pomnik lotnika. W piwnicy była apteka. Był taki pan, który miał taką maszynkę, wydrukował to wszystko na bibulce, zawinał to wszystko w pudeleczkę z talkiem, takim proszkiem, żeby się nogi nie peściły. Wkleił to w pudeleczkę, nasypał talku do tego. Dali mi gryps do starosty w Bielsku Białej. Ze to jest stary socjalista i on mi pomoże.

Wchodzę do tej willi, otwiera mi drzwi sam ten starosta i ja mu mówię te hasła. On na to - proszę bardzo, a za mną wchodzi pułkownik rosyjski. I on mi mówi, że dzisiaj jest bankiet z okazji 50-lecia PPS-u w Bielsku Białej. Musiał więc zaprosić tych Rosków. Ten starosta mówi do tego pułkownika, że my jesteśmy starzy przyjaciele z PPS-u z Krakowa. Do 4 rano byłem na tym bankiecie i byłem starym Chemikiem z Polskiej Partii Socjalistycznej w Krakowie. Z tym pułkownikiem Wanią musiałem wypisać bruderszaft (Ty jesteś Piotra a ja jestem Wania!). No i z tymi wszystkimi ludźmi różne wspominki socjalistyczne i jaka wspaniała jest teraz Polska Ludowa!

A ten starosta w pewnym momencie mówi do mnie - proszę pana, ja panu wszystko już załatwiłem, pan pojdzie rano do mojej sekretarki! Dostanie pan przepustkę na Słowację.

I tak się stało. I tak wróciłem na Słowację. Przez cały czas, kiedy jeździłem po Polsce - miałem dokumenty jako pan Chemik. Ale na to, aby wrócić na Słowację - miałem już wyrobione papiery słowackie i te papiery miałem w kieszeni. Opiewały one na moje nazwisko. Pojechałem tam, gdzie była moja żona,

aby zobaczyć, co się dzieje. I zaraz na drugi dzień pojechałem do Pilzna i przeszedłem przez granice do strefy amerykańskiej, z powrotem do płk. Dąbrowskiego. Zapytałem go, jak ja mam ten raport przekazać do Londynu. Nie ma sposobu, żeby nasza dwójka nie wiedziała o tym. No więc razem wymyślili z nim, że trzeba pojechać do Andersa, bo Anders na pewno nie jest w jakichś związkach z rządem lubelskim.

Dąbrowski wysyłał kogoś do Włoch, do Ankeny. Więc ja pojechałem do Ankeny i przyszedłem do Andersa. Tu znowu osobowość Andersa jest ciekawa. On miał adiutanta, którym był nasz daleki kuzyn Lubomirski. Ja byłem wtedy w mundurze tej Brygady Świętokrzyskiej. Przyszedłem do sztabu do Lubomirskiego i mówię mu, że ja muszę się zameldować u generała. Dobrze. Przychodzę do tego generała, melduję się. On pyta - co ty chcesz? Więc ja mówię - przyszedłem do pana generała, żeby prosić pana generała żeby mnie przetrzasnął do Londynu, bo mam rozkaz do Bora Komorowskiego; naczelnego wodza, do przekazania. - Wykluczone! Nikogo nie można wysłać do Londynu, Anglicy nie pozwalają. Ale ja jadę - on mówi - za dwa dni do Londynu, to przekaz mi te raporty! Ja mówię - dobrze, ja zamelduję wszystko panu generalowi, tylko proszę o rozkaz na piśmie, bo ja muszę mieć jakiś dowód, co ja zrobiłem z takim rozkazem. On wtedy wstaje i ryczy na mnie - co to jest, to jakiś cywilbenda! Ja tu jestem najstarszym wojskowym, albo zdajesz mi raport, albo się wynos! Ja mówię - dobrze, panie generale, ale chociaż świadka jakiegoś ja muszę mieć dowód, że przekazałem komuś to! I on wola tego Lubomirskiego - ty będziesz świadkiem! Ja mówię - bardzo panu generalowi dziękuję, to tylko o to chodzi! Proszę zrozumieć, że to nie jest czysto wojskowy raport, tylko to jest sprawa polityczna!

Wiec Anders siadl, ja wyciagam ten talk, rozwiazuje - prosze, tu jest to, co mi gen. Bor przekazal i tu jest odpowiedz, ja to przywoze z Warszawy ! I ten raptem sie zupełnie zmienil. Siadl, przeczytal i powiedzial, ze wszystko Borowi zamelduje. A mnie zaczel przez pol godziny wypytywac, co sie w Polsce dzieje, a jak sie dzieje... Zrobil sie szalenie mily raptem. Wreszcie mi mowi - a co ty bedziesz robil ? Ja mowie, ze pan general moze mnie przyjac do korpusu, ale ja zadnego przydzialu nigdzie nie mialem. Anders mowi do Lubomirskiego - w tej chwili wezwac szefa personalnego. Kazal przyjac mnie do Korpusu. I tak sie dostalem do Korpusu, a Anders cala te historie wzial i przekazal do Londynu.

Potem siedzialem w Ankenie przy sztabie. Byl taki oddzial, ktory sie nazywal "spoleczny". Zajmowal sie on transportami dzieci... M.in. nasz Czerwony Krzyz londyński zbieral w Niemczech nasze dzieci wywiezione tam na zniemczenie, a ja je mialem przewiezec z Niemiec (to bylo gdzies pod Norymberga) do Hiszpani. Bo w Hiszpanii biskup Barcelony ofiarowal palac jakis dla dzieci polskich zabranych z Niemiec sierot. To sie swietnie udalo tez.